

Brudne czyny

Czy urzędnik skarbowy, który kontroluje firmę, ma prawo równocześnie zasiadać w jej władzach i pobierać za to wynagrodzenie?



Fot. Anna Kaczmarz

Mimo że od wybuchu afery minęło już 5,5 roku, nie ma winnych. Wszyscy czują się pokrzywdzeni. Nawet prokurator. Na zdjęciu (OD LEWEJ): Paweł Rey, Lech Jeziorny i Grzegorz Nicia.

- Nie widzę w tym nic złego - mówi Jerzy Jakielarz, były naczelnik Urzędu Skarbowego Kraków-Śródmieście, który przez blisko dwa lata kierował radą nadzorczą Polmozbytu Kraków SA i równocześnie nadzorował kontrolę skarbową w tej spółce.

Kolizji interesów nie dostrzega też prokurator Andrzej Kwaśniewski, który prowadził w tym czasie śledztwo w sprawie nadużyć w Polmozbycie.

Oskarżani przez niego menedżerowie tymczasem twierdzą, że działania aparatu skarbowego i prokuratury wobec spółki miały na celu przejęcie kontroli nad firmą przez inwestora zaprzyjaźnionego z urzędnikami.

Szczegółowego i bezstronnego wyjaśnienia sprawy domaga się pięciu posłów z klubu parlamentarnego Platformy Obywatelskiej (Jarosław Gowin, Arkadiusz Rybicki, Sławomir Nitras, Antoni Mężydło i Jerzy Fedorowicz). Przed miesiącem ich interpelacja trafiła do marszałka Sejmu. Na pytanie: "Czy organa ścigania i kontroli skarbowej nie popełniły przestępstwa i nie naruszyły praw obywateli" mają odpowiedzieć trzej ministrowie: sprawiedliwości, finansów oraz spraw wewnętrznych i administracji.

Niebezpieczni "aferzyści"

Sekwencja zdarzeń była następująca: na początku 2003 r. w Polmozbycie Kraków SA i w Krakowskich Zakładach Mięsnych pojawiła się kontrola skarbowa. W marcu naczelnik Urzędu Skarbowego Kraków-Śródmieście złożył do prokuratury doniesienie o rzekomo popełnionym przestępstwie. Prok. Andrzej Kwaśniewski z Prokuratury Rejonowej Kraków-Nowa Huta w połowie maja postawił pierwsze zarzuty. Najpierw usłyszeli je członkowie zarządu Polmozbytu (aktualni i byli), członkowie rady nadzorczej oraz właściciel większościowego pakietu akcji spółki - Witold Sz. Po kilku miesiącach zatrzymano trzy osoby związane z Polmozbytem i Krakowskimi Zakładami Mięsnymi, m.in. Lecha Jeziornego i Pawła Reya. Ich aresztowanie wzbudziło w Krakowie sensację. To znani opozycjoniści w epoce PRL-u, a w III RP - szanowani działacze gospodarczy i przedsiębiorcy. Uzyskali poręczenia, m.in. Wiesława Chrzanowskiego, Aleksandra Halla, ks. Adama Bonieckiego, Tadeusza Syryjczyka. Nie pomogły.

Ostatecznie zarzuty przedstawiono 16 osobom, 11 z nich trafiło za kraty. Prokuratura podała, że tworzyli sieć powiązanych ze sobą spółek służących wyprowadzaniu pieniędzy ze sprywatyzowanych państwowych firm; że zdefraudowali środki z kredytu, które miały być przeznaczone na restrukturyzację, a popłynęły do spółek powiązanych kapitałowo, personalnie i rodzinie. Początkowo podano, że chodzi o 65 mln zł, ostatecznie jednak w akcie oskarżenia straty oszacowano na ok. 40 mln zł.

Przez dwa lata śledztwo prowadzone było pod jedną sygnaturą. W czerwcu 2005 r. do Sądu Rejonowego dla Krakowa-Nowej Huty trafił akt oskarżenia w sprawie Polmozbytu. Wątek zakładów mięsnych został wyłączony do odrębnego postępowania. Żadna z tych spraw nie doczekała się do dziś rozstrzygnięcia.

- Z listy zarzutów, które mi przedstawiono w dniu aresztowania wynikało, że jestem największym szkodnikiem gospodarczym w Polsce, szefem zorganizowanej grupy przestępczej, że prałem brudne pieniądze. Prokurator przesłuchiwał mnie tylko raz, w dniu zatrzymania. Przez następne 9 miesięcy, które spędziłem w celi, ani razu go już nie widziałem. Jako podejrzany o udział w zorganizowanej grupie przestępczej dwa razy stawałem w Tarnowie przed specjalną komisją razem z innymi "niebezpiecznymi", która badała, czy ktoś nie czyha na nasze życie lub nie planuje nas odbić. Moja 9-letnia córka dostała zgodę na widzenie ze mną dopiero po 3 miesiącach, a list od niej szedł do mnie miesiąc z powodu cenzury - opowiada Lech Jeziorny.

Prokurator ostatecznie nie znalazł dowodów na działanie zorganizowanej grupy przestępczej. Zarzuty przeciwko Jeziornemu i Reyowi zawarte w akcie oskarżenia mówią o niegospodarności oraz działaniu na szkodę Polmozbytu i spółek zależnych. Obydwaj nie przyznają się do winy. Prok. Andrzej Kwaśniewski jednak zapewnia:

- Podstawy do przedstawienia zarzutów istniały i nie straciły na aktualności. Z ustaleń śledztwa wynika, że faktycznie Polmozbytem kierowali Lech J. i Paweł R., nawet wtedy, gdy nie zasiadali już w radzie nadzorczej. To od nich nabył akcje Witold Sz., a ponieważ nie miał czym zapłacić, doszło między nimi do porozumienia, że za pomocą fikcyjnych umów wyprowadzi pieniądze ze spółki i spłaci dług. Tak zrobił. Była np. umowa opiewająca na ok. 3,6 mln zł na wykonanie planu restrukturyzacji Polmozbytu, który sporządziła studentka, córka Witolda Sz. Pieniądze pochodziły z kredytu zaciągniętego przez Polmozbyt. Streszczając więc zarzuty, można powiedzieć, że spółki płaciły za zmianę właściciela z własnego majątku.

- Żadne pieniądze nie zostały zdefraudowane, tylko trafiły do banku jako spłata kredytu spółki, zarządzającej holdingiem, do którego należał Polmozbyt. Cała konstrukcja zarzutów "działania na szkodę spółki" opiera się o wykonany wykup menedżerski, przeprowadzony przez właściciela Polmozbytu Kraków. Fakt, że planowane działanie i panujące w tamtym czasie trudne realia rynkowe go przerosły. Do tego doszła słabość finansowa spółki i brak pełnej staranności prawnej w przeprowadzonym wykupie. Jednak nie mogło to uzasadniać tak drastycznej ingerencji w spółkę i dramatycznego połamania życia wielu ludziom. W ostatecznym efekcie po to, by spółkę przekazać innemu inwestorowi, zaprzyjaźnionemu z urzędnikami - wyjaśnia Lech Jeziorny, który do 2002 roku zasiadał w radzie nadzorczej Polmozbytu.

Dzieci do sierocińca

Akta śledztwa obejmują około dwóch tysięcy tomów. Na ławie oskarżonych zasiada obecnie 10 osób. Sześcioro podejrzanych dobrowolnie poddało się karze, przyznając do winy. Dostali niskie wyroki w zawieszeniu. Przyznał się m.in. Czesław B., który w aresztanckiej celi został dotkliwie pobity przez współwięźnia (narkomana na głodzie) i niewiele brakowało, aby stracił oko.

- To był typowy areszt wydobywczy, w myśl zasady posiedzisz, to zmięknie - mówią oskarżeni. Niektórzy przed sądem częściowo odwołali wcześniejsze wyjaśnienia.

Grzegorz Nicia, prawnik z wykształcenia, mówi, że też dostał propozycję zwolnienia z aresztu pod warunkiem przyznania się do winy. Postawiono mu zarzut działania na szkodę na spółki - którą reprezentował jako prezes zarządu - oraz prania brudnych pieniędzy. Nie przyznaje się i zapewnia, że nie zrobił niczego, co byłoby sprzeczne z prawem. W areszcie spędził 9 miesięcy.

W aktach śledztwa znajduje się list jego matki: "Błagam Pana Prokuratora o uwolnienie mojego syna z aresztu. Proszę o to usilnie, gdyż jego rodzina - dwoje małych dzieci i żona w ciąży - znajduje się w dramatycznym położeniu. Oprócz kłopotów finansowych są zrujnowani psychicznie i fizycznie. Synowa lada dzień będzie rodzic, jest w głębokiej depresji, ma bardzo silną anemię - wynik niedożywienia i szoku, w którym ciągle żyje. Starszy chłopiec - 6-latek - bardzo przeżył aresztowanie. Był przy tym i do dziś jest bardzo zmieniony psychicznie. Mówi, że teraz musi pilnować mamy, aby mu jej nie zabrano".

Do listu dołączono zaświadczenie lekarskie o zagrożonej ciąży żony Grzegorza Nici. Gdy 23 stycznia 2004 r. trafiła ona do szpitala, a adwokat po raz kolejny wystąpił o zwolnienie podejrzanego z aresztu, na oddziale położniczym natychmiast pojawili się policjanci z CBS, a prok. Andrzej Kwaśniewski zwrócił się do sądu rodzinnego o umieszczenie dwójki synów państwa Niciów - w wieku 6 i 2 lata - w placówce opiekuńczej.

- Obligowało mnie do tego prawo - mówi dzisiaj. - Skoro dziećmi nie miał się kto zająć, były dwie możliwości: albo je odwieźć do policyjnej izby dziecka, albo zwrócić się do sądu rodzinnego. Wybrałem to drugie rozwiązanie, jako mniej uciążliwe. Gdybym dzieci pozostawił samych sobie, zapewne spotkałbym się z postępowaniem dyscyplinarnym lub nawet karnym. Po skierowaniu wniosku do sądu opieka nad dziećmi jednak się znalazła. Do kompetencji prokuratora lub realizujących czynności funkcjonariuszy policji należało zabezpieczenie interesów małoletnich dzieci.

Kontroler we władzach

Kiedy podejrzani siedzieli w celi, przewodniczącym rady nadzorczej Polmozbytu został Jerzy Jakielarz, naczelnik Urzędu Skarbowego Kraków-Śródmieście.

- W czerwcu 2003 r. zadzwoniła do mnie wicedyrektor departamentu instytucji finansowych Ministerstwa Skarbu i poprosiła, abym wyraził zgodę na zasiadanie w radzie nadzorczej z ramienia Skarbu Państwa, do którego należał wtedy ponad 15-procentowy pakiet akcji - opowiada Jerzy Jakielarz. - Zdawałem sobie sprawę, że jest to olbrzymie zadanie, gdyż miałem już obraz tego, co wydarzyło się w Polmozbycie Kraków. Próbowałem się z tego obowiązku wywinąć i tłumaczyłem pani dyrektor, że nie odbyłem kursu dla kandydatów na członków rad nadzorczych. Jednak wiedziała, że jestem biegłym rewidentem i nie muszę mieć żadnego kursu. Tym argumentem zostałem przelicytowany i ostatecznie wyraziłem zgodę, chociaż nigdy wcześniej nie pełniłem żadnych funkcji w radach nadzorczych.

Został wybrany do rady 30 czerwca 2003 r. na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy, które na wniosek Ministerstwa Skarbu zwołała główna księgowa Polmozbytu. Dwa dni później rada wybrała go przewodniczącym. - Piastowałem to stanowisko tylko do 11 sierpnia 2003. Sam zgłosiłem rezygnację ze względów osobistych. Jakich? Po zastanowieniu uznałem, że lepiej będzie dla Polmozbytu, jeśli przewodniczącym zostanie pracownik Ministerstwa Skarbu, który również zasiadał w radzie. W efekcie on jej przewodniczył, a ja byłem wiceprzewodniczącym - do września 2005 r. - mówi.

W tym czasie, choć wydaje się to szokujące, obowiązki prezesa zarządu Polmozbytu zaczęła pełnić była główna księgowa. Ponieważ wcześniej blisko współpracowała z Witoldem Sz. i podpisywała zakwestionowane dokumenty, została formalnie włączona do śledztwa. Przedstawione jej zarzuty dotyczyły wyrządzenia znacznej szkody majątkowej w mieniu Polmozbytu. Chodziło o sprzedaż dwóch nieruchomości po zaniżonej cenie. Jej sprawę prokurator jednak wyłączył do oddzielnego postępowania, a następnie umorzył. Dlaczego? - Wobec braku ustawowych znamion czynu

zabronionego. Śledztwo wykazało, że działała w ramach udzielonego pełnomocnictwa przez zarząd spółki, czyli przez oskarżonych - mówi prokurator Kwaśniewski.

Alina S. pełniła funkcję prezesa 2,5 roku, w tym czasie jej wynagrodzenie wyniosło w sumie ponad 537 tys. zł. Jerzy Jakielarz zasiadając w radzie nadzorczej Polmozbytu przez niespełna dwa lata zarobił ok. 65 tys. zł.

Bezprawne zgromadzenie

Na walne zgromadzenie, które wybrało nowe władze spółki, nie dopuszczono Grzegorza Nici, który przejął większościowy pakiet akcji od Witolda Sz., przebywającego w areszcie. Nie dopuszczono do obrad także pełnomocników innych podejrzanych. Obecni byli akcjonariusze, reprezentujący zaledwie ok. 23 proc. kapitału zakładowego. Nicia wniósł do sądu sprawę o unieważnienie uchwał. Prawomocne postanowienie w tej sprawie zapadło dopiero po 5 latach. W tym roku Sąd Okręgowy w Krakowie stwierdził bezprawność zwołania i odbycia NWZA oraz nieważność podjętych wówczas uchwał. Potwierdził to Sąd Apelacyjny. Główny powód - to zwołanie walnego zgromadzenia przez główną księgową, co było sprzeczne z kodeksem spółek handlowych i statutem spółki.

Czy szef skarbowki zdawał sobie sprawę, że walne zgromadzenie, które go wybrało do rady, zwołano nielegalnie?

- Jestem pewien, że była to decyzja Ministerstwa Skarbu. Nie znam kulis, ale twierdzenie, że grupa ludzi Jakielarza nie wpuściła kogoś na zgromadzenie, jest absurdalne. Ja tam w ogóle nie byłem i nie decydowałem, kto ma wejść na salę. Nie byłem odźwiernym.

Zaprzecza, że osobiście prowadził kontrolę w Polmozbycie. Swoją częstą obecność w siedzibie spółki (przed wyborem do rady nadzorczej) tłumaczy koniecznością nadzorowania podwładnych urzędników. Asystował nawet przy policyjnych przeszukaniach. - Byłem, gdy przeszukiwano gabinety prezesów i zabezpieczano dokumenty. Chodziło o to, żeby dokonać bieżącej oceny ich wagi i nie zabezpieczać wszystkiego - mówi.

Nie ukrywa, że jako członek rady nadzorczej pobierał wynagrodzenie i równocześnie nadal nadzorował kontrolę skarbową.

- Nie było żadnego konfliktu interesów. Jestem zwolennikiem przestrzegania prawa - zapewnia. - Ustawa "ordynacja podatkowa" wymienia cztery przypadki, kiedy powinno nastąpić wyłączenie naczelnika od załatwiania spraw dotyczących zobowiązań podatkowych. Żaden z nich nie dotyczy tej sytuacji. Nie widziałem powodu wyłączenia się z tej kontroli także dlatego, że postępowanie podatkowe jest dwuinstancyjne i podatnikowi przysługuje odwołanie do dyrektora Izby Skarbowej, a w ostateczności do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Czy zarząd Polmozbytu odwołał się od jakiegokolwiek decyzji Jerzego Jakielarza, naczelnika Urzędu Skarbowego Kraków Śródmieście? - Dokładnie nie pamiętam. Chyba nie - przyznaje.

Oskarżeni menedżerowie twierdzą, że przez prawie dwa lata naczelnik skarbowki de facto kierował - w większości prywatną - spółką. - Kiedy mnie zatrzymano, prokurator podczas przesłuchania przyznał, że wcale nie musi mnie aresztować, ale nalega na to Jerzy Jakielarz, bo mu przeszkadza. Chodziło o złożenie przeze mnie do sądu pozwu o unieważnienie walnego zgromadzenia i wniosku do KRS o niewpisywanie zmian we władzach spółki - mówi Grzegorz Nicia.

Prok. Andrzej Kwaśniewski oburza się: - To absurdalny zarzut, graniczący z pomówieniem. Pan Jakielarz nie był stroną postępowania, a na zlecenie policji i prokuratury, jako naczelnik Urzędu Skarbowego, a następnie osoba wyznaczona przez Ministerstwo Finansów, odpowiadał za prowadzone kontrole skarbowe. Nie prowadziłem z nim żadnych prywatnych rozmów, porozumiewaliśmy się niemal wyłącznie na piśmie lub służbowo, w tym głównie poprzez funkcjonariuszy policji prowadzących śledztwo, które nadzorowałem.

Ślad tej korespondencji można znaleźć np. w Krajowym Rejestrze Sądowym, gdzie prok. Kwaśniewski interweniował, gdy sąd zawiesił postępowanie w sprawie wpisu zmian we władzach Polmozbytu (uchwalonych na nielegalnym NWZA - przyp. EK). Interweniował z powodzeniem, na wniosek Jerzego Jakielarza. Jednak dzisiaj obydwoj twierdzą, że tego nie pamiętają.

Nowy właściciel

Tymczasem kontrolę nad Polmozbytem Kraków przejął nowy inwestor - Paweł Czeredys, większościowy właściciel Polmozbytu Toruń. Na przełomie 2004 i 2005 r. kupił - osobiście lub za pośrednictwem kontrolowanych spółek - ok. 18 proc. akcji od mniejszościowych akcjonariuszy. Kolejne 10 proc. sprzedał mu urząd skarbowy. Te akcje należały wcześniej do aresztowanej Kingi Sz., która dobrowolnie poddała się karze. Zostały przejęte przez prokuraturę na poczet naprawienia szkody i przeszły na własność Polmozbytu Kraków. Zajął je jednak za zobowiązania podatkowe urząd skarbowy. Był przetarg na sprzedaż tych akcji?

- Ja żadnych akcji nie sprzedawałem - zapewnia Jerzy Jakielarz. - Proszę skonfrontować dwie daty: 27 marzec 2006 - moje odejście na emeryturę i datę zakupu akcji przez pana Czeredysa. Nie mam wiedzy, kto je sprzedawał i za jaką cenę. Byłem zresztą temu przeciwny, bo uważałem, że akcje powinien przejąć skarb państwa. Dodaje, że rok wcześniej interweniował u ministra Jacka Sochy, kiedy Ministerstwo Skarbu sprzedawało pakiet akcji. Ale bez powodzenia.

Minister skarbu miał najwyraźniej inną koncepcję, bo w lipcu ubiegłego roku ogłosił przetarg na sprzedaż całego pakietu swych akcji w Polmozbycie (15,68 proc.). Cena wywoławcza wynosiła 2,15 za jedną akcję. Wpłynęły trzy oferty. Najniższa - 2,26 zł, najwyższa - 6,15 zł. Polmozbyt Toruń zaproponował 5,16 zł. Po dwóch miesiącach przetarg unieważniono bez podania przyczyny, ale wcześniej w Monitorze Sądowym i Gospodarczym ukazało się ogłoszenie o zwołaniu na 26 września 2007 r. Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy Polmozbyt Kraków SA. Porządek obrad przewidywał m.in. podjęcie uchwały w sprawie podwyższenia kapitału zakładowego poprzez emisję nowych 830 tys. akcji w cenie 2 zł, którą w całości miał objąć Polmozbyt Toruń. Wyłączono prawo poboru dla wszystkich pozostałych akcjonariuszy. Plan został zrealizowany, chociaż z korektą. Na NWZA, które odbyło się w Warszawie, uchwalona została emisja 415 tys. akcji po cenie emisyjnej 4 zł. W ten sposób Polmozbyt Toruń uzyskał kontrolę (ponad 51 proc. akcji) nad krakowskim Polmozbytem i to za cenę niższą niż oferował w przetargu. W wyniku tej operacji udział Skarbu Państwa w tej spółce zmniejszył się do ok. 11 proc.

Urzednicy z Ministerstwa Skarbu tłumaczą, że za podniesieniem kapitału przemawiała trudna sytuacja finansowa krakowskiego Polmozbytu. Sęk w tym, że kilka miesięcy później kolejne NWZA podjęło uchwałę o obniżeniu kapitału zakładowego poprzez obniżenie wartości nominalnej wszystkich akcji z 2 zł do 30 groszy. Na walne zgromadzenie po raz kolejny nie dopuszczono przedstawicieli spółki, która nabyła akcje od firm kontrolowanych w 2003 r. przez Witolda Sz. Sąd ustanowił na nich zabezpieczenie majątkowe, ale pełnomocnicy wciąż walczą o odzyskanie wynikającego z nich prawa głosu. Gra toczy się o wielkie pieniądze, bo chociaż sytuacja finansowa krakowskiego Polmozbytu nie jest imponująca, to wciąż należy do niego ponad 6-hektarowa działka przy alei Pokoju w Krakowie, warta ok. 100 mln zł.

- Zarzuty, że prokuratura odpowiada za to, że Polmozbyt jest w złej kondycji finansowej i że ktoś coś kupił nielegalnie, są absurdalne. Wszelkie zmiany własnościowe dokonane po 2003 roku nie były przedmiotem śledztwa, bo wykraczały poza okres objęty zarzutami postawionymi podejrzanym. "Polmozbyt Kraków" SA, jako firma, miała status pokrzywdzonego. Jeśli natomiast ktoś ma podstawy do twierdzenia, że akcje spółki nabyte zostały nielegalnie po tej dacie, powinien złożyć zawiadomienie do prokuratury, która zarzuty te zbada w odrębnym śledztwie - twierdzi prok. Kwaśniewski.

Takie zawiadomienie na początku tego roku wpłynęło do warszawskiej prokuratury. Grzegorz Nicia stawia w nim tezę, że ministerialni urzednicy działali na szkodę Skarbu Państwa.

Nie ma winnych

Proces krakowskich "aferzystów", którzy mieli działać na szkodę Polmozbytu, trwa już od ponad 2,5 roku. Wyrok raczej zapadnie nieprędko, bo sąd dopiero niedawno zlecił wykonanie opinii kolejnej ekipie biegłych. Poprzednia ekspertyza okazała się co najmniej niepełna, a na dodatek biegły, który ją sporządził, sam ma kłopoty z prawem. Niedawno zasiadł na ławie oskarżonych w innym procesie.

Rozstrzygnięcie w "aferze" związanej z Krakowskimi Zakładami Mięsnymi wydaje się jeszcze bardziej odległe. Śledztwo jest zawieszono od przeszło dwóch lat i dopiero niedawno biegły zakończył pisanie ekspertyzy. Aktu oskarżenia nie ma i nie wiadomo, czy kiedykolwiek powstanie.

Według prokuratury mechanizm przejęcia tej firmy był podobny do zastosowanego w Polmozbycie. Prywatyzacja nastąpiła w 1995 r., przez wejście do programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Później jej właścicielem stała się spółka należąca do NFI Magna Polonia, od której wykupili ją krakowscy menedżerowie, zaciągając na ten cel 20 mln zł kredytu. Spłacili go - jak mówi prok. Kwaśniewski - z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży terenów w centrum Krakowa, na których znajdowała się rzeźnia.

Lech Jeziorny - jeden z podejrzanych o działanie na szkodę zakładów mięsnych - twierdzi, że prokuratura dopatruje się łamania przepisów i wyprowadzania pieniędzy tam, gdzie ma do czynienia z czystą formą wykupu menedżerskiego.

- Tych zakładów nie chciał objąć żaden inwestor strategiczny, bo były w ruinie - mówi. - Rok po odejściu z pracy w NFI Magna Polonia zorganizowałem tzw. wykup menedżerski. Przejęliśmy stary zakład, sprzedaliśmy teren, na którym się znajdował. Rzeczywiście część pieniędzy przeznaczaliśmy na spłatę kredytu, ale przede wszystkim wybudowaliśmy za nie nowy, supernowoczesny zakład na obrzeżach Krakowa. Trzeba pamiętać, że stary, zdekapitalizowany, od lat 90. przynosił straty i trzeba było do niego stale dokładać. Masę pieniędzy kosztowało uprzątnięcie terenu po nim, z utylizacją ton amoniaku włącznie. Nie dostaliśmy ani złotówki dotacji. Produkcję do nowej siedziby przenieśliśmy w kwietniu 2003 r. Po uroczystym otwarciu zakładu we wszystkich spółkach grupy kapitałowej KZM natychmiast rozpoczęli kontrolę urzędnicy skarbowi. W jej efekcie dostaliśmy bezprawne domiary podatkowe, o łącznej wysokości blisko 3,5 mln zł, które trzeba było zapłacić. Po naszym aresztowaniu zakłady upadły.

Dopiero w czerwcu tego roku Naczelny Sąd Administracyjny uznał za bezpodstawne naliczone wówczas podatki. Sprawę zwrócono do ponownego rozpatrzenia przez Wojewódzki Sąd Administracyjny. Bez względu na wynik, los zakładów mięsnych został już przesądzony.

Tak naprawdę niczego też nie zmienił wyrok sądu gospodarczego - wydany po pięciu latach od wniesienia pozwu - unieważniający uchwały walnego zgromadzenia, które wprowadziły nowe władze do Polmozbytu. Nie skutkuje on bowiem automatycznie unieważnieniem podejmowanych przez te władze decyzji (m.in. w sprawie sprzedaży kilku nieruchomości). Do ich podważenia konieczne byłyby kolejne procesy, a każdą uchwałę należałoby zaskarżać oddzielnie. Nie dziwi więc to, że Jerzy Jakielarz (dziś już na emeryturze) nie obawia się żadnych konsekwencji związanych ze swoją działalnością w Polmozbycie.

Ma prawo natomiast obawiać się Grzegorz Nicia, który doprowadził do tego wyroku. Urzędnicy z krakowskiej skarbowki przypomnieli sobie niedawno, że spółka, w której pełnił funkcję prezesa, ma do zapłacenia zaległe podatki jeszcze z 2003 r. Zobowiązania przeniesiono na niego, bo spółka istnieje dziś już tylko na papierze. Zaległości razem z odsetkami wyliczono na ok. 50 tys. zł. Dotyczą pięciu miesięcy, w czasie których Nicia przebywał za kratami. - Wcześniej pilnowałem, by podatki były odprowadzane regularnie - mówi. - Nie było żadnych zaległości. Gdy trafiłem do aresztu, nie miałem na to żadnego wpływu.

Wystąpił do ministra finansów o wyłączenie z tej sprawy naczelnika Urzędu Skarbowego Kraków-Śródmieście. Minister skierował jego wniosek do rozpatrzenia przez dyrektora Izby Skarbowej w Krakowie, Tomasza Sokolnickiego, o którym Jerzy Jakielarz mówi z dumą: "To mój wychowanek".

Mimo że od wybuchu afery minęło już 5,5 roku, nie ma winnych. Wszyscy czują się pokrzywdzonymi. Nawet prokurator Andrzej Kwaśniewski, który trzy lata temu wystąpił o policyjną ochronę oraz skierował do swoich przełożonych zawiadomienie o utrudnianiu śledztwa i o groźbach karalnych pod jego adresem. O spisku (rzekomo w krakowskiej kancelarii adwokackiej) dowiedział się od jednego z podejrzanych.

- Postępowanie zakończyło się odmową wszczęcia śledztwa, ponieważ świadek nie zdecydował się na złożenie zeznań do protokołu - mówi prok. Bogusława Marcinkowska, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

Lech Jeziorny i Paweł Rey, którzy mieli spiskować przeciwko prokuratorowi, kwitują to krótko: - Czysty absurd.

Ewa Kopcik



Fot. Anna Kaczmarz

Gra toczy się o wielkie pieniądze, bo chociaż sytuacja finansowa krakowskiego Polmozbytu nie jest imponująca, to wciąż należy do niego ponad 6-hektarowa działka przy alei Pokoju w Krakowie, warta ok. 100 mln zł.